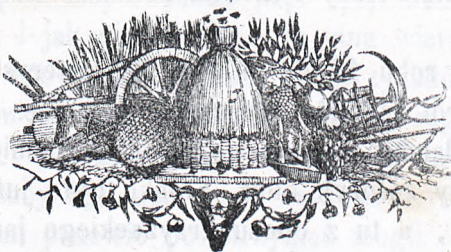


11. Października

1860.

Wychodzi we Lwowie
co 10 dni, to jest
1. 11. i 21. każdego
miesiąca.



Kosztuje rocznie
z przesyłką pocztową
2 zlr. w. a., półrocz-
nie 1 zlr. w. a.

D Z W O N E K

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WŁADYSŁAW JAGIEŁŁO.

III. Jaki był wojownik.

Nie mógł się król Jagiełło utulić w żalu, skoro pogrzebał Jadwigę.

— Pojadę sobie — mówił zasmucony — wrócę do moich borów w Litwie, zbiorę siłę luda, pójdę wojować, a może Pan Bóg da zginąć uczciwie, bo mi już nie żyć bez Jadwigi.

— Miłościwy królu! — wołali panowie — a toż ci droższa jedna niewiasta, niż cały naród polski?

— Ja wam nic nie poradzę; bierzcie sobie innego króla — rzeknie Jagiełło zadumany.

— My ciebie chcemy, nasz królu jedyny — proszą panowie. — Obroń nas od wrogów! A toć srogi Krzyżak na kark nam lezie i plądruje Polskę; i nie ma kogo, co by nas powiódł na te zbójce. Zostań z nami i wiedz nas na Krzyżaki!

— Ha, nauczę ja Krzyżaka! — zawołał Jagiełło, i jary

gniew zabłysnął mu z oczów. — Zostanę z wami, zostanę aż do śmierci, i powiedę was na tych rabusiów!

Jakoż jęli się Polacy i Litwini zbierać do rozprawy z Krzyżakami.

Było to w roku 1410, a więc już czterysta i pięćdziesiąt lat temu, jak król Jagiełło wyruszył na wojnę. Rankiem 15go lipca stanął niedaleko wsi, co się zwała z niemiecka *Grunwald*, a kędy Krzyżacy założyli obóz. Słońko było już dobrze w górze, patrzą nasi, a tu z obozu krzyżackiego jadą dwa rycerze i prosto walą do króla. Skoro stanęli, wydobyli dwa miecze i odezwią się w te słowa:

— Sławny królu! Nasz wielki dowódzca *Ulryk* przesyła ci te dwa miecze: tobie jeden, a twemu bratu Witołdowi drugi, abyście się mieli czem bronić. — A zrobił to *Ulryk* z wielkiej pychy, boć mawiał on, że w obozie litewskim to więcej łyżek jak mieczy.

Żachnął się król z razu na to; aleć się wnet pomiarkował, i prawi z pokorą:

— Bieję ja te miecze, da Bóg, może się zdadzą przytrzeć wam trochę rogów. —

Jakoż duchem dał znak i trąby polskie zagrały do bitwy. Całe wojsko, jak było, zaczęło spiewać pieśń św. Wojciecha: *Bogarodzica Dziewica*, i ruszyło obces na wroga. Ciężka to była chwila, skoro się wojska starły. Łamały się hartowne żelaza, chłop na chłopą wręcz uderzał, krzyk i brzęk oręży daleko słyhać było, a ziemia stękała pod ludźmi i końmi. I dobrą chwilę nie chciał jeden drugiemu ustąpić.

Aliści wielką siłą posunęli się Krzyżacy na Litwinów i tak ich zaczęli przypierać, że wojownicy litewskie jęli uciekać z pola. Wielki książę Witołd, brat naszego króla, był najwyższym wodzem Litwinów. Setny to był rycerz, aleć tu nie mógł sobie dać rady, i nie mógł powstrzymać swego wojska przed ogromną krzyżacką siłą. Już też i polskim wojownikom wydarli wrogowie chorągiew, toż i owi jęli ustępować; a tak się zgoła zdawało, że Krzyżacy wygrają.

A otóż Pan Bóg przecież naszych nie opuścił. W tejże chwili, kiedy Krzyżacy naszym tak mocno dopiekają, puścił się

deszczyk z nieba i osadził kurzawę, przez którą nie można było dojrzeć bożego świata. Król patrzy, a tu owi Niemieccy rycerze rozbiegli się w nieporządku, więc spał duchem konia, ruszył do swoich, i jak nie zawoła: za mną wiara! tak nasi wojownicy spadli znowu jak piorun na Krzyżaków. Poszczęścił Pan Bóg naszym tą razą, odebrali swoją chorągiew, i nuż rzezać niemieckich rycerzy. Więc znowu się strasznie zwierali, jako że i Krzyżacy byli uparci, a nasz król rwał się naprzód, że go ledwie inni panowie powstrzymać mogli.

Kiedy się tak spierają, wyskoczył nagle jeden rycerz niemiecki, i z ciężką piką wali prosto na króla. Nie spostrzegł król tego nieprzyjaciela, ale jeden rycerz polski, imieniem Oleśnicki, zobaczył go rychło; a że nie miał w ręce, jeno włócznię, co mu się w boju złamała, więc rzucił połowę na Krzyżaka, i tak go tęgo w łeb zwalił, że ów stoczył się na ziemię. Zmiarkował się król natenczas, przypadł z włócznią na rycerza i ugodził go w samo czoło.

Nie było już nakoniec i z kim się bić. Czterdzieści tysięcy Krzyżaków legło bez duszy na polu, a reszta uciekła. Zginął też i ów wielki dowódzca krzyżacki *Ulryk*, co się tak przed bitwą przechwalał. A oto pan Bóg ukarał go za tę jego pychę, i nie tylko że swoich tyle stracił, ale i sam się pożegnał ze życiem.

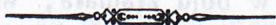
Niezmierna moc różnych rzeczy dostała się naszym z obozu krzyżackiego. Więc ładna zbrój, paki z pieniędzmi, kufy z winem; zgoła niesłychane skarby. Krzyżacy zaś upokorzyli się bardzo po tej bitwie, i nigdy już nie przyszli do takich sił i majątków. Skoro król wrócił do Krakowa, odprawił zaraz solenne nabożeństwo, Panu Bogu na podziękowanie, że mu dał zwalczyć małą siłą tak wielkiego wroga, i obronić Polskę już na zawsze od krzyżackiej napaści.

Żył jeszcze nasz Jagiełło dwadzieścia lat z okładem po tej walnej bitwie. Miał on aż trzy żony po śmierci ukochanej Jadwigi, a wszystkie go odumarły. Zostało po tych żonach dwóch synów: *Władysław* i *Kasimierz*. Miał-ci Jagiełło na starość różne jeszcze kłopoty z swoim bratem Witoldem, co

chciał być gwałtem królem. Szczęściem umarł dumny Witołd i nie bruździł już więcej.

Późnego wieku doczekał się nasz Jagiełło. Miał prawie osmdziesiąt i sześć lat, kiedy się wybrał w drogę do Rusi. Było to w czas na wiosnę; zimno było rankami i pod noc, a stary nasz król lubiał nad życie słowiecze śpiewanie. Owóż trafiło się, że kiedy przyjechał już za Przemyśl do Medyki, siedział długo w nocy i słuchał słowika. Zaszкодziło to staruszkowi, jakoż rozchorzał się bardzo, i zaraz w Gródku pode Lwowem Bogu ducha oddał.

Żałowała Polska i Litwa tęgiego króla; a choć i po jego śmierci, to się Polacy z Litwinami już razem zostali, i obrali sobie za króla Jagiełłowego syna, *Władysława*.



S pie w k a n a j e s i e ń .



Idzie deszczyk z nieba, zimny wiatr powiewa,
Na zoranem polu ptaszę już nie śpiewa,
Jaskółeczka mała z gniazdka poleciała,
Bociek się zasmucił, starą lipę rzucił.

Lipie schyla wiatr konary,

Żółtym liściem sypie,

Kiedyś siedziesz boćku stary

Na zielonej lipie ?...

Cieknie woda, cieknie, droga zabłocona,
Na wysokim brogu pokrakuje wrona;
Co skrzydło roztoczy, deszczyk ją pomoczy,
Smutno już na dworze, litościwy Boże!

Hej nie długo czekać pono,

Mróz nadejdzie srogi;

A któż ciebie prosił wrono

Na wysokie brogi ?

Zorałem, zasiałem, i zasiali ludzie,
Wnet przyjedzie Szymon po zmarzniętej grudzie;
Przyszedł święty Łukasz, czegoż w polu szukasz ?
Już ci nie urośnie, aż w zielonej wiosnie.

Hej rzuciłem ziarno w rolę,
Nie skąpiłem sprawy;
A czy nam też lepszą dołę
Zeszle Bóg łaskawy?

Wedle pełnej sterty wróble uganiają,
A mili sąsiedzi dziewczynę mi rają;
— Hej miły sąsiedzie, co się żenić w biedzie?
A toć przecie wiecie, że tak źle na świecie....

Hej zaczekam — da Bóg wiosnę,
Bieda się odczepi,
Może w lepszy puch porosnę,
Może będzie lepiej.

Grzesz z Mogiły.

Historja o sierotce Jadwisi.

Małą Jadwisię odumarli ojcowie, i nie zostało się po nich jeno jedna jałówka; toż biedną sierotkę wzięła chrzestna matka Regina do siebie za pastuszkę. Więc pasła Jadwisia gęsi i pasła krówki na polu, a jak padło, to Jadwisia musiała iść trawy uciąć, i drobiu pilnować żeby w grzędy nie laźł i koni napoić; zgoła wszystka robota patrzała się do biednej sierotki, toż i nie dziwota, że nie mogła wszystkiemu podołać. A Regina zrędziła jeno ciągle, a bywało to i wybiła nieraz nieszczęśliwą Jadwisię, nie dała temu jeść jak się patrzy, a starą zapaskę, co jej jeszcze przed rokiem darowała, bywało zawsze wypomina.

— Nieszczęsna moja dola! — płakała nieraz Jadwiga. — A gdzieżes moja matenka, a pocóżes mię odumarła! O ja nieszczęśliwa!...

A tu przybywało coraz więcej tego nieszczęścia. Owóż jednego wieczora poszła gęsi spędzać, patrzy, a tu gęsi na staw poleciały, i ani rusz je zegnać. Dobrze się musiało nauganiać niebożatko i nawołać, zaczęły gęsi wyszły z wody, a tu się już i mroczyć poczęło. Pędzi owo gęsi do chałupy, a tu chrzestna Matka z daleka już wydziwiała i wywołuje:

— Jadwiga, słyszysz! Co też to i za pędrak taki? A czemuż krowy nie przygonisz z pola? Jak wezmę kija z płota, to ci wszystkie żebra porachuję; nie dam ci nie na wieczerzę, zapaskę ci zedrę i wypędzę z chałupy na dziady, jak mi się będziesz tak lenić!...

— Oj, nie bijcie mię też, chrzestna matko! — ozwała się Jadwiga z bojaźnią — już idę po krowę, już idę.

Jakoż zwinęła się duchem i skoczyła po krowinę na pastwisko. Jenoc tam przybiegła, a tu jej zastępują drogę pastuchy i śmieją się psotniki, że jej krowę do dworu zajęli, bo w pańskie proso wlażła.

Jadwisia załamała ręce i jęła krzyczeć w niebogłosy:

— A cóż ja teraz pocznę, mój Boże, mój Boże! A pocóż mi już wracać do chałupy, toć mię tam chrzestna matka zabija na śmierć!

— Widzicie, jak beczy ta cyganka! — ozwały się pastuchy i popędzili dalej swoją chudobę.

Jedna tylko marynka ulitowała się nad nią; oddała swoje krowy innej pastuszce, a sama jęła cieszyć Jadwisę, bo jej się żal wielki zrobił w sercu, za co też to wszyscy pastwią się nad biedną sierotką; chyba jeno za to, że nie miała ani takiej ładnej zapaski, ani takiej chustki na głowie, jak inne.

— Nie płacz nie płacz moja Jadwis! — mówiła Marynka — już ja pójdę z tobą do dworu i wyprosimy krowinę, bo panna we dworze łaskawa na mnie, że jej też czasem fijołków z lasa przyniesę.

Uuliła się Jadwisia w swoim żalu i poszły obie z Marynką do dworu. Jakoś szczęśliwie trafiły panienkę na podwórzu, więc też panna wyprosiła zaraz krowę i oddała Jadwisi. Dziwno jej tylko było, dla czego tak brudno i biedno koło Jadwisi. Dopieroż jej Marynka jęła opowiadać, jako Jadwisia jest sierotka, jako jej źle jest u chrzestnej, i wszystko zgoła wypowiedziała. Owoż ulitowała się panienka nad nieszczęsną sierotką i dała jej cienką koszulkę ze siebie i spodniczkę, i chustkę na głowę, a Marysi darowała też ładne paciorki i trzewieczki do kościoła za to, że dobre serce ukazała ku sierotce.

Ucałowały dziewczęta rączki panience i pobiegły co tchu z krową do wsi.

Regina się aż przeżegnała, skoro ujrzała Jadwisię w takim ładnem obleczeniu.

— Duchu święty! a to zaś co? Z kądże ty masz taką przyodziewkę? — pytała się zdziwiona.

Jadwisia opowiedziała jej sumiennie wszystko, jako się wydarzyło.

— Widzisz? w szkodę puszczać — zaczęła dopiero wydziwiać Regina — w pańskie proso! A czy ja ci to każę, he?... Nie godnaś tej łaski od państwa, i ja ci nie pozwolę w tem chodzić, to będzie dla mojej córki do kościoła. Zdejm mi to zaraz; dla ciebie prawie te szmaty coś je nosiła.

— Jak mi każecie, to i oddam — ozwała się Jadwiga. — Weźcie sobie tam dla córki, mnie i tak Bóg nie opuści.

— A nie pyskuj ty pędraku! — zawołała Regina — Ja ci tu zaraz gębę zamknę, a i dwór ci na to nie pomoże, bo ty nie we dworze służysz, jeno u mnie.

Zdjęła Jadwisia ładną przyodziewkę ze siebie, wdziała nad starą zapaskę, i wyszła przed chałupę wypłakać się serdecznie na taką krzywdę.

Spodobały się bardzo Reginie owe cienkie husty, aleć znowu bała się, żeby Jadwiga nie poskarżyła się we dworze, bo by i bieda jaka była. Medytuje więc baba, jakby to zrobić, żeby to dla jej córki Kundy te chusty zostały. Jakoż nie bała się samego Pana Boga, żeby skrzywdzić sierotę, a swoją chręstnę do tego, co zaś jest grzech wielki, i jak świat światem nigdy tego Pan Bóg nie daruje. Duchem też podszeptnął jej zły czart dobrą radę. Zawinęła się po izbie, wyjęła z swojej skrzyni papierek na trzy cwancygiery, owinęła w jakiś łaszek Jadwisi i włożyła między węgły od chałupy. Prawie też weszła sąsiada do izby.

— Toście coś dużo podarunków dla Jadwisi dostali — ozwała się sąsiada wchodzący.

Regina nie nie rzekła, jeno się oglądała po izbie.

— A cóż to tak szukacie zaturbowani? — pytała się znowu sąsiada.

— Ej, bo mi się papierek na trzy ewancygiery zatracił, moja Onufrowa — odrzekła Regina, a zbliżyła się w tej chwili do ściany i wyciągła z pod węgła ów łaszek, co go dopiero sama tam zatknęła.

— O, na rany Chrystusa! Widzicież tę cygankę! — zawołała Regina — a toć mi Jadwiga papierek ze skrzyni wyciągnęła i tu go schowała.

— Co powiadacie! owa sierotka, coście ją z miłosierdzia wzięli?...

— A przypatrzcie-że się sami, że to łach tego pędraka — zawołała Regina i wyleciała za drzwi.

Jakoż słyhać było zaraz z dworca wyzywanie Reginy i płacz okropny Jadwisi, do której się chrestna zaraz biegnęła.

— A ty złodziejko! a ty cyganko! — wymyślała Regina. Onufrowa wyleciała duchem na ten krzyk z chałupy, a jeszcze tego samego wieczora wiedzieli ludzie w Stebnicy, że sierotka Jadwisia ukradła papierek na trzy ewancygiery swojej chrestnej matce.

Nabrała się Jadwiga dużo bicia niesprawiedliwie, i tak jej się żal zrobiło w swojej niewinności, że płacząc i zawodząc serdecznie, wyszła sobie aż daleko na pole.

— Mój Boże kochany, miejże litość nad sierotą — zawodziła Jadwiga. — Moja matenka, moja matenka, a na cóżes ty mnie odumarła!...

Jakoż nie wiedząc sama o tem, zaszła aż pod mękę pańską, co stała nie daleko lasu, a tam ukłękła sobie biedna sierotka, i jęła się modlić gorąco do Pana Jezusa, żeby też jej niewinność okazał, albo ją zabrał z tego świata. I już tak sobie myślała, że woli zginąć marnie na polu, jak wracać do swojej chrestnej.

Późny już był wieczór. Niebo było czystiutkie, zasiane gwiazdami jak makiem; a miesięczek świecił sobie w pośrodku niby rybie oko. Jadwisia siedziała pod krzyżem, płakała ciągle i tak już sobie pomyślała, że się ztąd nie ruszy, a niechby tam i wiley z lasu przyszli i żywcem ją pożarli. Ledwo też o tem pomyślała, aż ci tu nagle załomotało coś za krzakami.

— O dla Boga, o dla Boga! — krzyknęła Jadwisia i przysunęła się mocniej do krzyża.

— A czegoż ty wrzeszczysz, jakby cię kto darł ze skóry? ozwał się w tej chwili gruby głos na drodze, i wyszedł z lasa pan Wojciech, kował z trzeciej wioski.

Dobre to było człeczysko, pan majster z Podwala. Wracał owo teraz z jarmarku, a zająrzał troszkę do dzbana i nogi mu nie bardzo statkowały.

— To ja jest, panie majster — ozwała się drżąca z bojaźni Jadwisia — ale się boję. O mój Boże kochany, nie bijcie mnie też panie majster!

— A ktoby cię tam bił, dziewucho! — rzekł pan majster i skłonił się przed figurą. — A coś ty za jedna?

— Mnie Jadwisia na imię — rzekła sierotka i opowiedziała mu całą historję, jaka jej się przytrafiła.

— A toś ty może porwiszka! — ozwał się pan Wojciech — A ja na porwiszów jak ogień!... Tyle-by było twego życia!

— Oj, nie pokradłam nikomu nic nigdy, i cała wieś mię wyświadczy. Wolałabym umrzeć z głodu, jak kraść — odrzekła Jadwisia płacząco.

— No, to pójdz za mną a dam ci wiecezrę, i przenocujesz się na strychu.

— Kiedy się też okrutnie boję!...

— Ale głupia, czego się boisz? — zawołał podehmielony kował. — Przecież cię nie zjem wrzasku przejęty! Dalej chodź, bobym cię zbił i tyle twego życia.

Jakoż zabrała się Jadwisia i poszła z panem Wojciechem do Podwala. — Wydziwiała trochę pani kowalicha, skoro jej mąż sierotkę przyprowadził, bo myślała z razu, że to jaki próżniak i włóczykijek. Ale skoro Jadwisia parę dni u nich wybyła, a pani Wojciechowa ujrzała, że to pracowite i potulne dziecko, tak-ci dobra kobiecina prawie za swoją córkę ją przyjęła; jako że nie dał im Pan Bóg dzieci, a dostatku siła. I wnet przywykli wszyscy troje do siebie. Pan Wojciech robił w kuźni; pani Wojciechowa krzątała się wedle gospodarstwa, a Jadwisia jej pomagała, albo szyły razem i śpiewały pieśni do Matki Najświętszej. I było tam Jadwisi jakby w raj.

A owo w Stebniey rozgadywali ludzie, że Jadwiga swojej chrzestnej matce trzy cwancygiery ukradła, a potem uciekła, i pewnie ją gdzieś wilki zjadły w lesie. Jakoż pobiegła także Marynka powiedzieć o tem wszystkim we dworze i zaklinała się na wszystko, że to być nie może, aby Jadwiga była złodziejką, jeno że jej pewnie Regina pieniądze podrzuciła, żeby też łatwiej zabrać od niej owe chusty. Panience we dworze było także bardzo dziwno, bo widziała w kościele na Kundzie, córce Reginy, oną przyodziewkę, co ją Jadwisi darowała. Jakoż poprosiła pаниenka swojego ojca, żeby się w to wdał, i żeby też sąd tego dochodził.

Zaś u Reginy zaczęło się teraz wszystko dzieć na opak. Gęsi się rozlatywały, a nawet kilka zginęło, bo ich Kunda ani troszkę nie potrafiła dopilnować; krowina padła na paskudnika, a ludziska zaczęli po wsi rozgadywać, że Regina w parła na Jadwisię owe trzy cwancygiery. Jakoż bieda zaczęła zaglądać drzwiami i oknami, i każdą, byle najmniejszą dziurką cisnęła się do chaty. Spuścił Pan Bóg do tego na Reginę srogie wyrzuty sumienia, jako że nikt nie wiedział we wsi, kędy się Jadwisia obraca, a Regina myślała jak inni, że ją gdzie wilki w lesie zjadły, albo też z głodu uskwierkło biedactwo. Toż nie mogła Regina ani zasnąć, ani łyżki strawy wziąć spokojnie do gęby, tak się jej wewnątrz sumienie odgrzało.

Wybyło tak z miesiąc. Aż ci tu jednego wieczora drzwi się uchyliły i wszedł sołtys.

— Niech będzie pochwalony! — powitał uczciwie. — Moja Regino, przyszło pismo, żebyście się jutro do sądu stawili, a zeznali gdzie się podziała Jadwiga sierota.

— Abo ja to wiem? — Uciekł pędrak odemnie, bo mu się gęsi paść nie chciało — ozwała się Regina, ale pobladła strasznie na oną nowinę.

— Ha, no, to tam będziecie w sądzie o tem gadać — odrzekł sołtys. — Panu Bogu oddaję — dodał jeszcze i wyszedł z chałupy.

Na drugi dzień poszła Regina do sądu, a była tam i Jadwisia z panem Wojciechem. Jadwisia, dobre dziecko, jako mogła, broniła swojej chrzestnej matki, mówiła że jej u niej dobrze było;

zgoła dobrocią wywdzięczała się Reginie za te wszystkie bicia i przekleństwa, co od niej słyszała. Znać zapamiętała sobie sierotka owe słowa naszego Chrystusa Pana, że *kto na ciebie rzuci kamieniem, to ty na niego chlebem*. Aleć nie pomogło to wszystko; przewąchał sąd co to za ziółko ta Regina i zamknął ją do aresztu. Do tego kazali jej jeszcze złożyć pieniądze za jałówkę sieroty, co po ojcach została, i za cały czas co Jadwisia służyła u Reginy. Jakoż była to już pierwsza kara, którą Pan Bóg spuścił na oną niedobrą kobietę.

Ale nie było dosyć na tem; bo Pan Bóg litościwy, co się każdym podłym robaczkiem opiekuje, ma też i sieroty w szczególnej swojej opiece, i nie dozwoli, aby się kiedy sierotce jakowa krzywda stała. Owóż cóż się znowu dzieje. Skoro jeno Regina wyszła i zaczęła się jako tako krzątać wedle gospodarstwa, aż tu jednego poranku przywędrował urlopnik do wsi, i wszedł do jej chałupy ze sołtysem. Aż się zatrzęsa Regina z przestachu, bo to był Szczepan brat jej rodzeniuteńki, a na niego był cały grunt z chałupą zapisany.

Ledwie się przywitali, odezwał się Szczepan:

— Moja siostró, przyszedł ja się tu upomnieć o swoją ojcowiznę.

— Oj mój Boże! — zawołała Regina — a toć ludzie powiadali, że ciebie na wojnie zabili!

— Nie zabili mię, chwala Bogu, a i zdrów jestem, jak się patrzy — odrzekł Szczepan — a teraz chciałbym już osiąść na gruncie od świętego Jakóba, a i ożenić by się zdało.

— A mój bracie, a przecież chałupa z gruntem na mnie zapisana?

— Oj nie, moja Regino — chałupa z gruntem jest na Szczepana. Są tam do tego wszystkie papiery, to wam już nie nie pomoże.

Dopieroż Regina jęła płakać i lamentować:

— A mój bracie, a nie wyganiaj-że mię też na dziady razem z córką! A nie miałbyś chyba Boga w sercu!

— Ej, co mi tam pleciesz! — odfrknął Szczepan. — Natłukł ja dosyć moje kościska, toć chciałbym sobie także gdzie

na starość odpocząć. Dam ci spłackę, co się będzie patrzyło, i możesz sobie gdzie komornem mieszkać.

— A ja spłackę zabierę za jałówkę, coście Jadwisi stracili — odezwał się znowu sołtys.

Nie tam nie pomogły Reginie płacze i lamenty; musiała się bratu ustąpić z chałupy i osiadła komornem, a w takiej komorze, co o niewiele się od chlewka różniła. Patrzajcież, co się zrobiło z zasobnej gospodyni! Musiała teraz z córką za zarobkami chodzić, a i to nie wszędzie przyjęli, bo się babsko leniło. Więc też bieda była wielka, a Kunda musiała iść kłoska po ściernisku zbierać, albo grzyby w lesie, żeby przecież było coś do gęby włożyć. Zaś Jadwisi na niezem nie zbywało u Wojciechów. Kowalicha przepadała za nią; kupowała jej co najładniejsze chusty, a i trzy sznury koralu na szyję jej sprawiła, tak, że zgoła rodzonej córce lepiejby nie było. A zmienił Pan Bóg tak w swej sprawiedliwości, że teraz Kunda chodziła w starej zapasce i grubą płachtą na deszcz się okrywała. Jakoż bardzo było biedno koło niej i koło matki.

Trafiło się owo, że kiedy raz tak Regina z Kundą o głodzie i o chłodzie siedziały, weszedł do komory pan Wojciech i pochwalił Pana Boga.

— Która tu jest komornica Regina — spytał się, spozierając po pustych i brudnych kątach.

— To ja gospodarzu, a czegoż odemnie chcecie? — ozwała się Regina.

— Oto sołtys wasz — prawi kowal — przyniósł mi dwadzieścia reńskich za jałówkę, coście przepaśli sierocie Jadwidze, i za zasługę i za odzienie. A że ona dziękować Bogu nie potrzebuje, bo ma z nas ile chce, i na nią gospodarstwo zapiszemy, więc wam odnoszę, abyście mieli dla waszej dziewczuchy. Jadwisia, jako chrzestnej matce, poseła wam też kołacz.

— O mój Boże kochany! Spodziewała ja się też takiej łaski w mojej biedzie — zawołała Regina i ścisnęła kolana Wojciechowi.

— A teraz się przez prawo pokazało — prawił dalej kowal — że na Jadwigę przypada jakaś chałupka, co przy garnarczowej roli...

— Wiem też wiem — rzecze Regina — to po ciotce.

— Więc mogę wam oddać tę chałupinę — prawil Wojciech — a wy sobie ją poprawicie za te pieniądze, i weźcie ją sobie na wieczyste, bo Jadwidze nie po niej. Jest tam i ogródek na kapustę i na ziemniaki, a to wam za to Jadwisia daje, coście ją po śmierci matki do siebie przyjęli.

Rozbeczała się Regina na piękne, rzuciła się całować Wojciecha po kolanach, a i Kunda ścisnęła nogi kowalowi. I wstąpił w tej chwili Pan Jezus do serca onej niewieście i jej córce, i żyły potem w bojaźni Bożej i w uczciwości ku ludziom. Bo ani pogrozkami, ani zawziętością nie zyszczesz sobie człowieka; ale litością i dobrocią przyciągniesz sobie bliźniego i nawrócisz grzesznika na łono Pana Boga.

W kilka lat później zaprosili mię ludzie w kumy do Marynki, owej pasterki, co to za Jadwisia w dworze się stawiała. Była ona już rok za mężem; dostała chłopca jak świeca, a owo mnie zawołali, żebym jej też trzymał do chrztu chłopaka, jak jabłuszko. Ochoty tam było dużo, a jadła i napitku, co nie miara. — Nie wyszło też i sześć miesięcy, bo jakoś pod jesień łonskiego roku, zaprosił mię też i pan Wojciech na wesele Jadwisi, co szła takż za kowala młodego ze sąsiedniej wsi. Ustroilem się co się zowie, bo mię też panna młoda za družbę obrała. O moiściewy! a co tam było radości, to wam i nie wypowiem. Hulaliśmy aż do białego rana, a mnie się z radości aż w głowie zamroczyło, choć nigdy ostrych trunków nie używam.

(Cz. N.)

O ziemniakach.

II. Jaki może być pożytek z pomarżniętych i nadpsutych.

Skoro ci ziemniak cały się zepsuje, to już nie ma z nim co robić, jeno wyrzucić; ale na takie, co tylko przemarzłą, albo też trochę dopiero gnić zaczęły, to jest jeszcze rada. Bieda potrafi siła nauczyć człowieka; bo w biedzie próbuje człowiek wszystkiego, aby tylko było lepiej. Owoż posłuchajcie, co ja wam poradzę:

Jeżeli ziemniaki nie są zepsute, ale tylko zmarznięte, wtedy oskrob je w zimnie, poprzerzynaj i jeszcze nie odtajają włóż do zimnej wody. Skoro zamróz we wodzie z nich wyjdzie, wtedy wyjmij, i już je możesz gotować a będą dobre do jedzenia. Jeżeliby zaś były nadpsute, to pamiętajże o tem, żeby przedtem zbolałe miejsca dobrze powyrzynać.

Kiedy ujrzysz, że ci się ziemniaki zaczynają psuć w kopcu, tedy trzeba wyjąć wszystkie, bo choroba jest zaraźliwa i wnet by wszystko zgniło. Radzę ja wtenczas kartofle oskrobać, powyrzynać zbolałe miejsca, pokrajać w kawałki i rozłożyć je w piecu po wysadzeniu chleba. Aleć miejże na baczności, aby piec nie był taki gorący, iżby ci się ziemniaczki upiekły; potrzeba tu żeby jeno uschły, a tak są przydatne do gotowania, albo można z nich wtedy zrobić mąkę a nawet i kaszę.

Jeżeli chcesz, abys miał mąkę z takich ziemniaczków, to trzeba je dobrze do suszenia na małe kawałtka pokrajać, a potem zemleć duchem czy to na żarnach, czy też i w młynie. Mąka ta jest żółtawa, a trzeba ją chować w suchych faskach i na suchem miejscu. Możesz z tej mąki piec chleb, a to najlepiej zmieszać ją czy to z mąką żytnią, czy też i pszeniczną. Dosyć jest smaczny taki chlebuś.

Zmarznięte albo też nadpsute ziemniaczki dadzą się jeszcze użyć dla bydła; jako i wy też często paciuki ziemniaczkami karmicie. Kiedy zaś jest bieda, to można karmić krowy i konie ziemniakami. Nie można do tego używać surowych, ale muszą być zawsze dobrze sparzone. Jeżeli są zaś nadpsute, to trzeba z nich ile się da nadbolałe miejsca powyrzynać; a jak już na kartoflach nać wyrosła w sklepie, to broń Boże dawać razem z nacią, bo to szkodliwe.

Lepiej-by to było, żebyśmy tego wszystkiego nie potrzebowali, żeby ziemniaczki były czelne i zdrowe, aleć trzeba się opędząć, jak kto może, kiedy bieda na karku, a mówią także ludziska, że *wiele ten zrobi, co musi*.

R Ó Ż N O Ś C I.

Pożary. — We wsi *Dydni* w Sano-
kiem uderzył zeszłego miesiąca piorun w bróg konieczyny, co stał między dworskimi budynkami i zapalił go od razu. Strach był wielki, bo lada chwila mogła się zająć stodoła, a za nią byłoby i wszystko zgorzało. Aleć wnet przybiegła gromada ze wsi i wzięła się siar z ście do obrony. Tak też przy łasce Boskiej i pomocy ludzkiej skończyło się tylko na onym brogu. Pan dziedzic podziękował ze serca gromadzie, i pewnie im za to będzie wdzięczny aż do śmierci. A jeżeli pan razem z gromadą są w zgodzie i przyjaźni, to tam już nie ma niebezpieczeństwa o jakowy przypadek albo niedostatek. Wy się też ociągacie często z obroną, skoro wybuchnie pożar od piorunu, mówiąc, że to z wola Pana Boga się stało; a toć piorun taki sam jest wypadek, jako i grad albo woda kiedy wyleje. — Niedawno temu w sam sądny dzień żydowski spaliło się też gumno we wsi *Wierzbowczyku* w Złoczowskiem. Znaleźli się też i tu zaraz poczciwi ludzie, bo nie wyszło i pół godziny, a przyjechał co tchu pan rzódca ze wsi niedalekiej *Pieniaki*, wiodąc ze sobą ludzi i sikawkę. Wielki był wiatr onego dnia, i tylko podziękować tegiej pomocy, że inne budynki dworskie nie zgorzały, a może i wieś cała. Spaliło się tylko samo gumno ze zbiorami, więc i tak była bardzo wielka szkoda, a strachu tyle,

żeć to naprawdę jak sądny dzień się wydawało.

Chleb zatruty. — Będzie temu dwa miesiące, jak upiekła jedna kobiecina chleb we wsi *Sapowej* w tarnopolskim obwodzie, a nie dawała na to pozoru, że w życie było dużo *sporyszu*, czyli *śniedzi* czarnej, co to często na kłoskach wyrasta, a także dużo nasienia z kłolu. Jadła go spokojnie razem z córką, dorosłą dziewczuchą i czteroletnim synem. Nie wyszło owo dwie doby a wszyscy troje pomarli. Miejcież się na baczności moi ludzie, żeby ziarno ze *śniedzi* i kłolu do brze przebierać, bo to wielka trucizna. Osobliwie *śniedzi* jest tego roku siła, bo lato było mokre. Mówicie wy na takie rady: Ej, co mi tam ma szkodzić; a oto macie przykład, że taka nieuwaga to może człowieka przyprowadzić o zdrowie i o życie.

Babskie rządy. — Mój sąsiedzie, czy jutro pójdziecie do kościoła?

— A nie wiem, jak ta kobieta się rozrządzi.

— Jeżeli pójdziecie ta weźcież ta moją Maryskę, bo młodej dziewczusze tak samej iść tyli sztuk drogi, to jakoś nie ładnie i nie wypada. Jakże weźmiecie?

— Spytajcie się sąsiedzie mojej kobiety, to ona wam to najlepiej wytłumaczy.

— To chodźcież przynajmniej, wypijemy po kieliszku gorzałki, bo się to dziś napracowało, że aż barami trudno ruszyć.

— Ja by rad mój sąsiedzie, ale kobiety jeno patrzeć z pola, to by jej ta zaraz różne cudeńka przysły do głowy, że człek więcej dba o karczmę jak o dom.

— Bo widzicie, na starą Janowę gromada się składa i my dajemy po garncu żyta, a parobcy dworsey po dwa garnce ziemniaków i po trzy główki kapusty, więc chciałem z wami pogadać....

— To już z kobietą moją pogadajcie.

— No to choć zażyjcie tabaki.

— Bóg wam zapłać, bo żona by poczuła, to zaraz byłoby jej to z przykrością.

— A niechże was Bóg kocha, a cóż to? czy nie macie już ani rozumu, ani pomiarkowania jak wypada?

— Ej, pytajcie się żony...

— Oj, mój sąsiedzie, pamiętajcie, że:

*Biada temu domowi,
Gdzie krowa doboda wołowi.*

Za co biją leniwca. — U pewnego gospodarza służył parobek, co miał wielką ochotę do miski, a przeokropny wstręt do roboty. Co się mu nie nagadał, nie nagroził, nie naprosił, ale ani w ząb; tyle to wszystko znaczyło, jakby wdział na psa łyko. Sprzykrzyło się to gospodarzowi, i razu jednego dopadłszy bata, nuże po Stachu, bo tak się zwał on niepotem parobek.

— A za co wy mnie bijecie! — wrzeszczał parobek w niebogłosy — dyć wam *nie nie robię?*

— Za to właśnie, za to — rzeknie gospodarz, chłodząc go z całej siły — że *nie nie robisz!*

Słowa z pisma świętego.

Nie wstydz się bliźniego twego, w upadku jego.

Synu, nie odejmuj jałmużny ubogiemu, a oczu twoich nie odwracaj od ubogiego.

Nie bądź prędkiem w języku twoim, a niepożytecznym i niedbałym w uczynkach twoich.

Dawne przysłowia i przypowieści.

Nie każdy kasa, co wiasami trząsa.

Oglądaj się na poślednie koła.

Obiecanka, łganka, a głupiemu radość.

Jest-to enota nad enotami, trzymać język za zębami.

Domowego złodzieja nikt się nie ustrzeże.